

UCIECZKA

Aleksandra Kowalska

UCIECZKA

Prószyński i S-ka

Copyright © Aleksandra Kowalska, 2017

Projekt okładki
Agata Wawryniuk, Robert Sienicki/ Firma Belego

Zdjęcie na okładce
© Marta Orłowska/Arcangel Images

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Kinga Szafruga

Korekta
Maciej Korbaśiński
Marianna Chałupczak

Łamanie
Alicja Rudnik

ISBN 978-83-8097-039-7

Warszawa 2017

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Abedik S.A.

15 kwietnia

I

Od dawna już nie spałam, gdy budzik odezwał się po raz pierwszy. Zamilkł, a ja leżałam dalej, w niczym niezakłóconej ciszy. Dopiero pół godziny później, po trzecim lub czwartym dzwonku, A. poruszył się za ścianą. Powoli wygrzebał się z łóżka, szurał kapciami po podłodze w drodze do łazienki. Wsłuchałam się głęboko w siebie, w bicie swojego serca. Panowała w nim cisza, wszystko było skupione, przyczajone, jak u pantery przed skokiem.

Teraz wrócił do pokoju, szukał czegoś w szafie. Dźwięki, które do mnie dobiegały, pozwalały odtworzyć dobrze znaną sekwencję porannych czynności: ubrał się, chodził po mieszkaniu, wziął torbę, zdjął płaszcz z wieszaka. Potem chyba przystanął przed uchylonymi drzwiami mojej sypialni, być może nasłuchując, czy śpię. Nie poruszyłam się jednak, a dzięki szczelnie zaciągniętym zasłonom pokój wciąż spowijała ciemność. Stał tak przez chwilę. Wreszcie płaszcz zaszleścił, w przedpokoju rozległy się kroki i dźwięk zamykanych drzwi.

Po paru minutach usłyszałam samochód ruszający spod bloku.

Przeciągnęłam się pod kołdrą i odczekałam kilka minut, podczas których jeszcze jedno auto przejechało pod oknami. Kiedy jego odgłos ucichł w od-dali, otworzyłam oczy, tak by śmierć mogła w nie zajrzeć, i wyskoczyłam z łóżka.

To nie to, że chciałam się zabić, że naprawdę chciałam przestać żyć. Po prostu nie widziałam innego wyjścia. Miałam dużo czasu, żeby o tym myśleć – całe lata – i nie znalazłam innej możliwości. Nie mogłam się zdobyć ani na to, żeby odejść, ani nawet by powiedzieć mu, że odchodzę. Częściowo ze strachu przed tym, jak zareaguje. Nawet kiedy bardzo się starałam nie wchodzić mu w drogę, nie zawsze mi się to udawało. Nie, nigdy mnie nie uderzył, a jednak odnosił się do mnie agresywnie; naj-gorsza była właśnie ta zimna złość w jego oczach, to cedzenie słów, ten ton albo pełna pogardy ci-sza, z jaką mnie mijał. Potrafił się tak zachowywać przez kilka dni z rzędu. Zdarzało mu się też krzy-czeć. Nie miotał wyzwisk pod moim adresem, ale unosił się gniewem, który wydawał się nasilać po każdym moim słowie. Nie wiedziałam, że w czło-wieku może być tyle gniewu, nie rozumiałam, jak można być ciągle tak wściekłym, niezmiennie i bez szczególnego powodu w takim złym nastroju? No,

nie tak do końca bez powodu, bo od lat nadużywał alkoholu. Przystopował, dopiero kiedy zachorował na wątrobę.

To może się wydawać dziwne, wręcz nieprawdopodobne, ale przez czterdzieści lat nigdy nie rozmawialiśmy o nas. W początkowym okresie małżeństwa próbowałam jeszcze poruszać takie tematy, ale jedyną odpowiedzią A. była wściekłość. Rozmowa musiałaby zresztą i tak zacząć się od picia albo na nim skończyć. Nie dało się dyskutować na ten temat. Teraz, gdy nawet energia potrzebna do urządzania awantur się wyczerpała, już nawet nie próbujemy rozmawiać. Niechętne milczenie, niema wrogość, pogardliwa obojętność od wielu lat rozgościły się w tym domu, stały się sposobem codziennego obcowania, którego ani on, ani ja nie potrafimy zmienić.

Nie żeby pił straszliwie dużo wtedy, wiele lat temu. Ale jednak za dużo. Pił codziennie albo prawie codziennie i wtedy się zmieniał albo właśnie wtedy stawał się prawdziwym sobą. Był nieracjonalny, drażliwy, opryskliwy, agresywny, nieprzyjemny. Wystarczył mu byle pretekst.

Oczywiście od dawna już go nie kocham, ale nie o to chodzi. Nie jest to historia skrzywdzonej, wzgardzonej miłości i odrzucenia. Można żyć bez miłości, to żaden problem. Można też być razem bez miłości. I nawet wszystko może być w porządku.

Nie marzę o miłości i to nie jej brak sprawił, że zaczęłam myśleć o śmierci. Przeciwnie: ułatwiał wiele rzeczy albo przynajmniej sprawiał, że wszystko to bolało mniej.

Na początku, dawno temu, bardzo mi zależało. Serce biło mi mocno i boleśnie, kiedy się kłóciliśmy; było mi źle, smutno, strasznie, czułam się nieszczęśliwa, wieczorem leżałam obok niego w łóżku, a on odwracał się na drugi bok, nie odzywał się, nie dotykał mnie. Rano wstawał i wychodził bez słowa, bez do widzenia, bez pocałunku. Wieczorem wracał i udawał, że mnie nie zauważa, albo wybuchał znowu gniewem. I tak miłość wygasła. Pamiętam jeszcze z tego wcześniejszego okresu uczucie przenikającego mnie przerażenia, kiedy w trakcie kłótni odczytywałam jego słowa jako zapowiedź rozwiązań ostatecznych. Brzmiały jak wyrok wydany na mnie, wyrok o rozstaniu. Odkąd jednak przestało mi zależeć, cały stres minął. Dlatego miłość kojarzy mi się ze strachem, niepewnością, z poczuciem chorobliwej zależności od drugiej osoby, która zamiast dawać szczęście i bezpieczeństwo, sprawia, że przez cały czas czuję się, jakbym wisiała nad przepaścią, bo wiem, że moje życie jest związane z kimś, komu nie mogę ufać. Dzięki temu wiem, że nikomu nie powinnam ufać tak naprawdę, tylko sobie. Miłość przestała mnie interesować, kiedy tylko przestałam go kochać. Już nigdy więcej nie

chciałam być zakochana. I właśnie przez to, a więc właściwie przypadkiem, byłam mu wierna albo prawie wierna. Parę razy chciałam nawet spróbować z kimś innym, ale byłam chyba zbyt uprzedzona do miłości. Seks był, owszem, fajny, ale bez przesady. Pewnie trzeba być zakochanym, żeby był niesamowity. Nieważne, nie żałuję tego, teraz już mi to i tak nie w głowie. Na pewno ani razu nie pomyślałam z żalem, że umrę, nie zaznawszy od wielu lat wielkiej miłości. Do diabła z tym, więcej już o miłości pisać tutaj nie będę. Mam do powiedzenia wiele rzeczy na różne tematy, ale akurat nie na ten.

Dlaczego przez pierwsze cztery, pięć lat małżeństwa byłam tak przerażona możliwością rozstania? Przecież nie tylko dlatego, że go kochałam. Nawet wtedy nie tylko ani nawet nie przede wszystkim dlatego. Także dlatego, że nic innego nie miałam, żadnej rodziny w pobliżu, superdyplomu w kieszeni, komfortu zawodowego, pensji na tyle wysokiej, żeby wystarczyła na opłacenie samodzielnego mieszkania i życie. A zresztą to były zupełnie inne czasy, komunizm, nie za bardzo było wiadomo, jak się zabrać do wynajęcia mieszkania po odejściu od męża... Trzy lata po ślubie, kiedy pojawiło się dziecko, byłoby mi jeszcze trudniej odejść. Strach mnie powstrzymywał. Zresztą nie ma co szukać wymówek. Nie potrafiłam odejść, nie potrafiłam zmienić swojego życia, chociaż całymi latami

wiedziałam, że nie jest takie, jakiego bym sobie życzyła, że nie jest dobre, a ja nie jestem szczęśliwa. Nie podjęłam dobrych decyzji, nie znalazłam w sobie dość determinacji, inteligencji, odwagi, chociaż przecież życie to wszystko, co mam. Nic więcej, tylko tyle, to jedno życie, a ja nie umiałam go przeżyć dobrze. Oczywiście mogę szukać dla siebie usprawiedliwienia w różnych dodatkowych okolicznościach – o tym za chwilę – ale nic nie zmieni tego, że zawinił też mój własny brak odwagi czy pomysłowości. Każdy kolejny dzień, który spędzam w tym beznadziejnym małżeństwie, jest jak rozdrapywanie rany, bo przypomina mi, stawia mi przed oczami w bardzo jaskrawy sposób, jak źle wszystko rozegrałam, jak zmarnowałam kawał życia i jak nadal je marnuję. Sama ta świadomość mnie przygnębia, nie mówiąc o tym, jak zachowanie mojego męża – jego obecność – przygnębia mnie dodatkowo. Tak jak nigdy nie odbyliśmy poważnej rozmowy o naszym związku, nigdy również nie było poważnej rozmowy o rozstaniu. Teraz tego żałuję. Może wtedy zdobyłabym się na odwagę, bobym musiała, znalazła inną pracę, wyjechała do innego miasta, skończyła jakieś studia czy kursy. Czytam wiele podobnych historii w kolorowych czasopismach.

Przeszkadzały mi też trochę moje lęki. No, szczerze mówiąc, przeszkadzały mi bardziej niż trochę.

Nie jestem chora psychicznie, po prostu odczuwam niepokój na myśl o różnych rzeczach. Wielu rzeczach. Na przykład o wszystkim, co nieznane. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby wyjechać z domu na studia, chociaż pewnie na jakieś bym się dostała, a rodzice gorąco mnie do tego namawiali. Nie, wolałam znaleźć szybko pracę w swoim mieście, właściwie miasteczku, C., tam, gdzie jest blisko, bezpiecznie. Potem spotkałam mojego męża – nieważne, w jakich okolicznościach, nie o to tu chodzi – i musiałam z nim wyjechać do Warszawy, bo tam dostał pracę, zresztą pochodził ze stolicy. Ale to było z nim, wiedziałam, dokąd jadę i jak mniej więcej będzie wyglądało moje życie. Wiedziałam, że dostanę tam pracę, bo wtedy pracę ludzie zawsze dostawali. Nie było próżni, znaku zapytania. A może to wcale nie rzeczy nieznanych najbardziej się boję, ale chaosu? Braku planu. Niewiadomej. Prawdopodobieństwo takiego chaosu jest dużo większe, kiedy się jest w nowej sytuacji, w nieznanym miejscu. Więc starannie tego unikam. Właściwie nigdzie nie jeżdżę sama, nie mam też prawa jazdy. W ogóle nie lubię jeździć daleko, myślę, że najlepiej czułabym się w domu – gdyby w domu nie było jego. Dwa lata temu odwiedziłam sama Piotra w Kanadzie, to był prawdziwy wyczyn, choć Piotr odebrał mnie z lotniska, a ja już kiedyś tam byłam (wprawdzie nie sama), więc to nie było do końca nieznane miejsce.

Miałam je już oswojone, wyrysowane w głowie. Nie czułam pustki, kiedy o nim myślałam.

Boję się też wyludnionych miejsc. Nie chciałybym pojechać do Afryki, na safari albo na pustynię, czy gdzieś w wysokie góry. Nie, nie odnoszę wrażenia, że natura jest mi nieprzyjazna; raczej czuję się tak, jakby mnie przygniatała. Albo na odwrót: jakbym w tej wielkiej, otwartej przestrzeni miała nagle się przewrócić i runąć w przepaść. Lekarz mówi, że to może być agorafobia, przepisał mi nawet tabletki na uspokojenie, które powinnam zażywać w takich sytuacjach, ale to był tylko internista, nigdy nie byłam u specjalisty. Zresztą nie tylko przestrzeni się boję, chociaż przestrzeni może najbardziej: boję się w ogóle trochę życia, boję się, co będzie. Jakbym była małą wyspą na środku oceanu, która wie, że nie ruszy się ze swojego miejsca, nie pokona wielkiej wody dzielącej ją od lądu czy od innej wyspy; będzie tam trwała na zawsze, zdana na łaskę i niełaskę oceanu, na kaprysy pogody, targana burzami; nie będzie się mogła nigdzie schować ani ukryć przed otaczającymi ją żywiołami.

Może to są dolegliwości urojone, ale kiedyś rozchorowałam się też naprawdę. Przeszłam jedną operację, kiedy Piotr miał dziesięć lat, a potem długo nie mogłam pracować, przez dwa lata byłam prawie ciągle na chorobowym. Wtedy akurat system polityczny się zmienił, firma, w której

pracowałam, upadła i nie mogłam dostać innego zajęcia przez następne dwa lata, a kiedy wreszcie coś znalazłam, okazało się, że to nędzna umowa za parę groszy. Potem była kolejna operacja, wypowiedzenie, długa rekonwalescencja. Wreszcie spokój, od piętnastu lat spokój. Ostatnie lata przed emeryturą wypracowałam z mozołem, nie zawsze na pełny etat, bo coraz trudniej mi było cokolwiek znaleźć. Obowiązki sekretarek kształtowały się już inaczej, zmieniły się wymagania. Obsługę komputera niby opanowałam, ale nie perfekcyjnie, więc nie miałam żadnej przewagi nad młodymi mimo pewnego doświadczenia zawodowego, za to wyglądałam zdecydowanie gorzej od nich. Dwa lata przed emeryturą pracowałam w kiosku Ruchu, położonym w centrum handlowym. Pomieszczenie było przestronne i jasne, zapełnione mnóstwem kolorowych gazet. Dużo ludzi tam przychodziło. To były moje najprzyjemniejsze lata pracy zawodowej, co samo w sobie jest żałosnym stwierdzeniem, bo jak można się spełnić, sprzedając w kiosku Ruchu? Nie ma się zresztą nad czym rozwodzić, lepiej zmienić temat. Odczuwam silną potrzebę, żeby to zrobić, kiedy mówię o swoim małżeństwie albo o karierze zawodowej, czyli właściwie o dwóch najważniejszych sprawach w życiu. Przykre.

O chorobach też opowiadać nie chcę. Spokój może się skończyć każdego dnia. Mogę na przykład

znowu się rozchorować. Niby po piętnastu latach od wyleczenia raka powinnam się uważać za zdrową, ale jestem na to zbyt ostrożna. A może po prostu nie oczekuję zbyt wiele dobrego od życia i dlatego nie zdziwiłabym się, gdybym rozchorowała się znowu. Od pierwszej diagnozy do nawrotu choroby minęło przecież dziesięć lat, a wtedy też już uważałam się właściwie za zdrową, dlatego teraz, po piętnastu latach od drugiej operacji, jestem nadal nieufna. Staram się żyć tak, jakby nie wisiał nade mną ten miecz Damoklesa, ale on jednak wisi. Poza tym nie mam nic: pieniędzy, wykształcenia, a nawet siły. Głównie nie mam właśnie siły. I nie mam pomysłu na życie. Chciałabym być wolna, rozpaczliwie pragnę mieszkać sama, uwolnić się wreszcie od A., ale nie wiem jak i mam już tego dosyć.

Czy były inne kobiety w jego życiu? Musiały być, bo od wielu lat nie śpimy razem, a właściwie nie zdarzało nam się już od dawna nawet dotykać się w taki zwykły, codzienny sposób, w jaki dotykają się ludzie, którzy mieszkają razem i są ze sobą od dłuższego czasu. Poklepać po ramieniu, wziąć za łokcieć, położyć dłoń na plecach, musnąć w przejściu. Zrobić ci herbatę? Czy coś cię boli? Nie, od dawna tego nie było. Kolacja prawie w milczeniu, zawsze przed telewizorem. Sucha wymiana informacji: co trzeba kupić, przyszedł e-mail od Piotra, zepsuł się kran. Zadzwońię po hydraulika. Czasem wspólne

imprezy u znajomych. Jeżeli gospodarze nie usadzali gości przy stole, zdarzało się nam nie widzieć przez cały wieczór, bo każde z nas tkwiło w innym kącie, w innym kręgu rozmowy. Pod koniec wieczoru szukaliśmy się wzrokiem, żeby dać sobie znak do wyjścia. On nie pytał nigdy, czy dobrze się bawiłam. Kiedyś pokłóciliśmy się tuż przed wyjściem i A. narobił mi wstydu, ponieważ został w domu; a ja poszłam sama i musiałam kłamać, że jest chory. Innym razem z kolei pokłóciliśmy się już na imprezie, a wtedy on wyszedł, zostawiając mnie tam samą. Nie wzięłam ze sobą portfela, nie miałam nawet pieniędzy na taksówkę. Ani kluczy od domu, bo to on zamykał drzwi, kiedy wychodziliśmy. Musiałam prosić znajomych, żeby mnie odwieźli, potem czekać dziesięć minut pod bramą, naciskając nieustannie dzwonek domofonu, by wreszcie raczył otworzyć mi drzwi. Musiał mieć z tego niezłą satysfakcję. Nigdy więcej nie wyszłam w jego towarzystwie bez pieniędzy i bez własnych kluczy. A może to wszystko nasiliło się po mojej chorobie? Może wtedy machnął na mnie ręką? Sprawiedliwie należy przyznać, że ja straciłam zainteresowanie nim znacznie wcześniej.

Kiedy miłość się kończy, mogą zostać wspólne rzeczy, zainteresowania, przyzwyczajenia, zaufanie. My nie mieliśmy wielu wspólnych punktów. On lubił dalekie podróże, ja nie. Ja lubiałam czytać,

on wolał sport. Poglądy polityczne też nas dzieliły. Mieliśmy różne zapatrywania na tysiące ważnych i nieważnych spraw. Na początku to może być fascynujące, ale potem staje się męczące, a w końcu duszne. Nie lubił mojej rodziny, ja nie lubiłam jego bliskich. Nie znosiłam, kiedy jego matka tu przyjeżdżała po narodzinach Piotra. Nie chciałam, żeby mi pomagała. Ach, to zaczyna wyglądać na litanię krzywd albo na relację z katastrofy. Powoli nagromadziło się tyle zapiekłych żalów i niezadowoleń, że właśnie tak, niezauważalnie, po cichu, w końcu się znienawidziliśmy.

Jestem zmęczona, może nawet nie życiem, raczej *moim* życiem. Kiedy na nie patrzę w retrospekcji, bilans wypada niekorzystnie. Jakbym w którymś momencie straciła kontrolę i nigdy już jej nie odzyskała, jakbym nie miała już siły wziąć życia w swoje ręce. Choroba, bylejakość, nieszczęśliwe małżeństwo, obowiązki, pieniądze. Wszystko inne jakoś się w tym rozplynęło. Moje życie nie było szczególnie radosne, nie było też nadzwyczajne, nie było w nim nawet zbyt dużo szczęśliwych chwil. I raczej nie będzie już lepsze teraz, kiedy mam sześćdziesiąt pięć lat, wyglądam tak sobie, podobnie się czuję i nie mogę oczekiwać niczego więcej niż spędzenie ostatnich lat w spokoju. Ten spokój niby mam: nie choruję, uzyskałam pewną życiową stabilizację, przewidywalność, ale nie czuję się spokojna.

Nie mogę być spokojna, dopóki on tu jest, dopóki dzielę z nim mieszkanie, kanapę, dopóki widuję go codziennie, jadam z nim przy jednym stole. Zbyt dużo rzeczy nie zależy ode mnie. Zbyt dużo spraw powoduje dyskomfort i zabija spokój. Nie widzę żadnego sposobu na to, aby to zmienić. Postanowiłam z tym skończyć, a właściwie skończyć z nim, kończąc ze sobą.

Przemyślałam wszystko – mam na to czas, przecież całe dni spędzam w domu. Nie ma potrzeby prac brudów przed całym światem czy zostawiać oskarżycielskich listów. Na tym etapie nie chodzi już o to, żeby kogokolwiek ukarać (a może chcę ukarać samą siebie?), tylko o to, żeby z tym skończyć. Wszystko jedno, co ktokolwiek o tym lub o mnie potem powie.

Jest tylko jedna osoba, która, chociaż nie musi znać całej prawdy czy wszystkich szczegółów, zasługuje na to, żeby dostać jakieś wyjaśnienie. Piotr. Moje dziecko, mój jedyny syn; zupełnie inny zarówno ode mnie, jak i od swojego ojca; z dystansem do nas obojga i do naszej posępnej wspólnej egzystencji. Opuścił dom rodzinny dość wcześnie, jakby życie z nami pod jednym dachem bardzo go uwierało. Wiele lat temu wyjechał do Kanady, przyjeżdża rzadko, dzwoni co dwa tygodnie, czasem pisze. Ma żonę, Kanadyjkę, i dwoje dzieci. Nie

bardzo wiem, jak im się tam układa, ale chyba lepiej niż mnie.

Nie żebym miała złe stosunki z moim synem czy żałowała, że nie mam córki. Ale widzimy się tak rzadko i tak bardzo się od siebie różnimy. Nie rozmawiamy nigdy o poważnych sprawach, o życiowych sprawach. Zawsze tylko zdawkowo: co u ciebie, co nowego, co się dzieje, jak praca, jak dzieci. Ja pytam, on odpowiada, sam zadaje niewiele pytań, jest taktowny i wie, że nie mam za dużo do powiedzenia. Raz byliśmy we dwoje, z jego ojcem, u Piotra w Kanadzie, potem jeszcze raz poleciałam tam sama. Ale to już było parę lat temu. Nigdy nie lubiłam dalekich podróży samolotem, a teraz jeszcze mniej; może i odległe egzotyczne kraje są piękne, ale ja wolałam spędzić parę tygodni w jednym miejscu, wynająć jakiś domek z ogrodem, posiedzieć z książką w słońcu. Lubię uprawiać ogródek, którego niestety nie mam, ale duży balkon stwarza jego namiastkę.

Owszem, były więc miłe, dobre rzeczy. Byłyby jeszcze miłsze, gdybym nie była z moim mężem. Najlepiej wspominam chwile spędzone samotnie albo z Piotrem, kiedy był jeszcze dzieckiem, a komunikacja między nami nie była niczym skrepowana. Potem, kiedy się rozchorowałam, wszystko stało się trudniejsze, pojawiło się jakieś napięcie. Ale mimo to miałam jednak trochę dobrych chwil.

Wystarczająco dużo, żeby nie czuć niedosytu i desperacko nie marzyć o tym, by coś jeszcze się wydarzyło. Mogę odejść.

Wczoraj poszłam z książeczką czekową na pocztę. Wypisałam czek na wszystkie oszczędności, które miałam na koncie, włożyłam go do koperty, napisałam krótki list. Czek wystawiłam na nazwisko Piotra. Niewiele jest tych pieniędzy – sześćdziesiąt tysięcy złotych – ale to zawsze coś, co mogę mu dać. Przez te wszystkie nieprzepracowane lata, kiedy chorowałam, dostaję bardzo małą, właściwie symboliczną, emeryturę. Muszę prosić ojca Piotra o pieniądze na każdy większy zakup, na przykład na nowe buty. Nie kupuję prawie nic nowego, bo nie chcę go prosić. Napisałam Piotrowi, że nie mogę już tak dalej żyć, że odchodzę, bo jestem bardzo nieszczęśliwa z jego ojcem i nie widzę innego wyjścia. I wysłałam mu czek na wszystkie moje oszczędności, chociaż zgodnie z prawem należy mu się tylko połowa. Pytałam o to koleżankę, która jest emerytowanym prawnikiem.

To pieniądze odkładane przez lata, po cichu, w tajemnicy przed A. On nawet nie wie, że mam to konto. Uzbierane nieuczciwie, bo kłamałam, że już nie mam ani grosza, że pieniądze się skończyły. Mówiłam mu, że zarabiam mniej, niż naprawdę dostawałam, i zawsze starałam się trochę odłożyć. Wszystko to po to, żeby któregoś dnia, kiedy

zdecyduję się od niego odejść, mieć swoje pieniądze. Nigdy się jednak nie zdecydowałam. Zresztą i tak nie wystarczyłoby tych pieniędzy na rozpoczęcie samodzielnego życia.

Druga połowa zaoszczędzonej sumy należy się więc mojemu mężowi, który zresztą większość tych pieniędzy zarobił, ale mimo to nie mogę znieść myśli, że zostawię mu cokolwiek. Dlatego chcę, by te pieniądze dostał Piotr. Nawet jeżeli to niezupełnie zgodne z prawem, chyba ojciec nie będzie się kłócił z synem, jeśli zostanie postawiony przed faktem dokonanym.

List będzie szedł do Kanady przynajmniej trzy dni robocze, tak mi powiedziano na poczcie. Nie zdecydowałam się na list polecony, bo Piotr musiałby go odbierać na poczcie, gdyby nie było go akurat w domu, i w sumie trwałoby to dłużej. To był czwartek po południu, korespondencję z tego dnia już zabrano, więc liczy się od dziś. Jest piątek; w sobotę poczta chyba też pracuje. Jeśli tak, to list powinien dojść najwcześniej w poniedziałek, czyli w trzy dni po moim samobójstwie. Ciekawe, że to słowo przechodzi mi przez usta o wiele łatwiej niż śmierć... A już dziś wieczorem zacznie się całe zamieszanie, kiedy A. wróci do domu i znajdzie moje ciało – no dobrze, to trochę moja zemsta – a potem zawiadomi Piotra. Kilka dni później syn dostanie mój list. Nie będzie musiał długo żyć ze świadomością, że matka

się zabiła, nie zostawiając mu słowa wyjaśnienia. Mam nadzieję, że będzie mnie dobrze wspominał. Nie chcę tego analizować, straszna jest świadomość, że prawie nikt nie będzie mnie wspominał. Żyłam przez sześćdziesiąt pięć lat, nie zostawiając po sobie właściwie żadnego ważnego, trwałego śladu – poza Piotrem. Moje jedyne dzieło, moje dziecko, a nawet z nim nie udało mi się stworzyć więzi tak głębokiej i tak mocnej, jak bym chciała. Nic mi się nie udało.

Długo myślałam, jak to zrobić. Właściwie najbardziej sensownym pomysłem wydawało mi się, nie wiedzieć czemu, wyskoczenie przez okno, ale mieszkamy na drugim piętrze. Zresztą być może w ostatniej chwili zabrakłoby mi odwagi. Nie, musiałam znaleźć inny sposób, taki, który nie dawałby natychmiastowego skutku, a jednocześnie nie sprawiał bólu. Stara dobra trucizna, po którą często sięgają kobiety, czy jeszcze lepiej pigułki nasenne. Dostawałam recepty na nie od różnych lekarzy i kupowałam je w różnych aptekach, aż nazbierałam spory zapas. I plan był taki, żeby tego dnia, w piątek, po tym, jak A. wyjdzie z domu rano, połknąć je i położyć się z powrotem do łóżka. Zasnąć i już więcej się nie obudzić...

Mój mąż jeszcze pracuje, chociaż jesteśmy już na to właściwie za starzy. Pracuje na uniwersytecie, jak dumnie podkreśla. Nie robi tam nic nadzwyczajnego, nie jest żadnym wykładowcą; zajmuje się

księgowością. Pozwalają mu dorabiać do emerytury na pół etatu. Na te pół etatu składa się połowa dniówki w środy, cały czwartek i piątek. Czułam się lepiej, kiedy pracował na cały etat. A za rok ma przestać w ogóle pracować. Dobrze, że tego nie doczekam.

Czasem ludzie cierpią intensywnie i głęboko, ale przez krótki, a przynajmniej ograniczony czas. We mnie cierpienie gromadziło się chwila za chwilą, pomalutku, niewielkimi dawkami, aż któregoś dnia zorientowałam się, że piętrzy się przede mną cała góra bólu. Odczuwam to za każdym razem, ilekroć patrzę na A. Obojętne, co robi, czy czyta gazetę na kanapie w salonie, czy wykonuje inne dobrze mi znane gesty i czynności. Sytuacje powtarzane i powtarzalne, które w innych okolicznościach sprawiałby mi przyjemność, bo lubię przewidywalność. Jest wieczór, stół jest sprzątnięty, wieczorna rutyna zakończona, nie ma już nic do zrobienia, nie ma nic do powiedzenia. Patrzę na niego, w tych rzadkich chwilach, kiedy siedzi w tym samym pokoju co ja, i czuję się, jakbym już umarła. Nie, jakbym umierała coraz bardziej, ale od tak dawna, że do tej pory śmierć powinna się we mnie wypełnić, a jednak się nie wypełnia. Czas dłuży się w nieskończoność, życia jest coraz mniej, a jednak ono się nie kończy. Nie boję się śmierci, nie boję się umierania – umieram od wielu lat.